

RADOMIR GELHOR

Z PAMIĘTNIKA WYKŁĘTEGO ANIOŁA



MORD TO MORD

FREE E-BOOK YORMŪN - WYKŁĘTY ANIOŁ



RADOMIR GELHOR



Z PAMIĘTNIKA WYKŁĘTEGO ANIOŁA

MORD TO MORD





Ubinam gentium sumus?

*„Słowa te spisałem dla Ciebie, Anno,
z miłości i w miłości”*

Okładka
Radomir Gelhor

Darmowy e-book: vPDF-zPWA-MTM-20171119

© Copyright by Radomir Gelhor
Opole Lubelskie 2017
www.rdmg.eu



Wprowadzenie

Fragment pochodzi z IV części książki: Yormūn¹ – Wyklęty Anioł, noszącej podtytuł: „Miasto Bogów²”. Pomimo że jest to wstępna wersja robocza, postanowiłem ją upublicznić w odpowiedzi na pewien artykuł znaleziony w sieci, dotyczący aborcji, eutanazji i ogólnie zabijaniu. Choć Anioł jak zwykle prześlizguje się tylko po wybranym temacie, mam nadzieję, że przynajmniej kilku osobom walczącym o prawo do legalnego mordowania da on nieco do myślenia, otworzy im serca i pozwoli inaczej spojrzeć na tę kwestię.

Akcja rozgrywa się w odległej przyszłości. Po awaryjnej ucieczce z zestrzelonego wahadłowca w kapsule ratowniczej, spadłej w tokijskiej dzielnicy Shibuya³, siedemnastoletnia Anna podąża na spotkanie Yormūnowi.

Informacja prawna:

Książka w postaci e-booka: PDF, EPUB, MOBI dostępna jest za darmo i może być rozprowadzana bez wiedzy autora tylko nieodpłatnie i w niezmienionej formie. Wszelka interwencja w treść oryginału jest zabroniona. Całość lub fragmenty książki mogą być wykorzystane w dowolny sposób z zastrzeżeniem, że podane zostanie źródło ich pochodzenia oraz nie posłużą celom zarobkowym. W razie wątpliwości proszę kontaktować się z autorem.

Wszelkie podobieństwo do osób, imion i nazwisk oraz zdarzeń rzeczywistych jest niezamierzone i przypadkowe.

Z pamiętnika Wyklętego Anioła.

Środek lata, Roku Pańskiego 2666

Tokio. Miasto-więzienie. Strefa dla tak zwanych ludzi niepasujących do Systemu.

Dzielnica Shibuya.

Mord to mord

Szła wąską, zniszczoną trzęsieniami i ulicznymi walkami drogą w stronę ruin Bunkamury⁴ – Tokijskiego Centrum Kultury – pozostałości okazałego budynku zbombardowanego przeszło czterysta lat temu przez oddziały specjalne dowodzone przez charyzmatycznego, amerykańskiego pułkownika – Roberta Cornwella. Człowieka z charakterystyczną blizną na prawej ręce, biomechaniczną nogą i genetycznie zmienioną skórą, upodabniającą ją do skóry węża. Pomimo upływu lat i zniknięciu dowodów rzeczowych świadczących o jego pobycie w broniącym się mieście, pamięć o nim potąd nie wygasła. Bezlitosny, krwawy dowódca dał się poznać ze swojego okrucieństwa nie tylko walczącym z jego oddziałem rebeliantom, ale, a może przede wszystkim bezbronnym cywilom. Niczym Wład Palownik⁵ urządzał nagonki na mężczyzn i chłopców, kazał żołnierzom nabijać ich na pale, ustawiać wzdłuż głównych ulic i dla rozrywki robił sobie spacerów wśród krzyku, jęku bóleści i śmierci. Kobietom i dzieciom również nie przepuścił. Co jakiś czas spędzał je do pierwszego z brzegu centrum handlowego lub większego magazynu i tam z kompanami urządzał sobie orgie pedo-sado-masochistyczne, a po wszystkim żywcem grzebał w ziemi ofiary swoich seksualnych pożądań. Robert Cornwell – imię, które wciąż wywołuje u ludzi strach i mimowolne dreszcze na ciele, choć w tym zdegradowanym mieście, gdzie porzuca się nienadających do Systemu ludzi, ma on swoich wyznawców, czcicieli i bezmyślnych naśladowców.

Stąpała ostrożnie. Omijała wyrwane w asfalcie dziury i wraki strawionych pożarem samochodów, porozrzucane resztki automatów ulicznych i powywlekane z mieszkań, a nienadające się do wykorzystania sprzęty codziennego użytku. Wszędzie było brudno, szaro, zalegały stopy cuchnących śmieci, trzeszczały pod stopami pokruszone szklane tafle i wystawały gdzieś tam stalowe pręty, o które łatwo było zahaczyć i rozedrzeć ubranie lub przeciąć sobie skórę. Nie znała tego miasta. Pierwszy raz tu była i kierowana nawigacją wbudowaną w przeciw-słoneczne okulary, zbliżała się wolnymi krokami do zrównanej prawie z ziemią Bunkamury. Pomimo niewielkiej odległości nie przyśpieszyła kroku. Ciemne za-

ułki domów, rumowiska po wyrwanych bramach i ogrodzeniach, naturalne wnęki i puste, skryte w cieniu garaże doskonale nadawały się na pułapki. Wiedziała o tym, toteż nie zdziwiło ją, kiedy z jednej takiej wnęki wybiegł pręgowany kot z dzikim wrzaskiem, a później wychynęło czterech postawnych mężczyzn dzierżących w rękach stalowe maczety o fikuśnych, choć groźnych kształtach. Ubrani byli w podłe, wyświechtane ciuchy, nie grzeszyli czystością i zapachem, i jak zga-dywała, przynajmniej dwóch z nich miało mocno w czubie. Zdradzały to ich czerwone, zapuchnięte twarze, sińce pod oczami i przekrwione oczy.

— A dokąd to, kociaku? — zapytał jeden z nich wyglądem przypominającym hienę.

Zatrzymała się. Odgarnęła śnieżnobiałe włosy powolnym, acz zdecydowanym ruchem, i zarzuciła je na plecy, zsunęła okulary na czoło, uśmiechnęła się nieznacznie lewym ust kącikiem i popatrzyła na nich błękitnymi jak niebo oczami. W jej tęczówkach podrygiwały gorejące płomienie słońca.

— Fiu! Fiu! — zagwizdał jeden, zarechotał drugi, trzeci zaś podszedł jeszcze bliżej.

— Towar pierwsza klasa! Najsampierw cię sprawdzimy i przerzniemy, później dobrze sprzedamy, a później...

Nie dopowiedział. Dziewczyna momentalnie wydobyła miecz z przyczepionej do pleców pochwy, zrobiła trzy błyskawiczne kroki i zadała zabójcze cięcie w mówiącego, niczego niespodziewającego się mężczyznę.

— Najsampierw ja was przerznę! — ryknęła w szale i runęła na dwóch z nagłą wytrzeźwiałych drabów.

Nim jednak zareagowali, jeden stracił głowę, a drugi rękę. Ostatni, czwarty mężczyzna nie dał się zaskoczyć. Sparował silne uderzenie nad czołem i odskoczył do tyłu, przybierając postawę do walki. Z jego szybkich, nieco nerwowych ruchów wywnioskowała, że walka na miecze nie jest mu obca i że w przeciwieństwie do tamtych, tak łatwo się nie podda.

— Odejź, póki pora! — syknęła.

W odpowiedzi zarechotał półgębkiem, splunął szczeliną między zębami i powiedział: — Zaskoczyłaś nas. Nie powiem. Szybka jesteś, ale mnie nie pokonasz. Jestem Mitsuo Koga.

— Nic mi to nie mówi — odpowiedziała, strzepnęła krew z miecza szybkim ruchem i chciała coś dodać, gdy dobiegł ich basowy głos wychodzącego zza wra-ku mężczyzny:

— Mitsuo Koga. Mistrz kendo sprzed dwudziestu laty.

— Yormūnie! — zawołała zaskoczona jego widokiem, posłała mu rozbijający uśmiech, i już miała pobiec do niego, ażeby upaść w jego ramionach, kiedy schwyciła wzrokiem poddenerwowanego mężczyznę.

Yormūn zbliżył się na bezpieczną odległość. Jego czarne wąskie oczy zdradzały spokój, usta układał w lekki uśmiech, a postawę, choć wyprostowaną, miał wyluzowaną. Chyba nie wierzył, że Mitsuo Koga mógłby go niespodziewanie zaatakować.

— Kim jesteście i co tu robicie? — zapytał mężczyzna, nie bardzo wiedząc, co ma począć z przyszykowaną do walki maczetą.

— Jestem, Anna Maj – oświadczyła dziewczyna: — A to jest Yormūn. Chcemy się stąd wydostać. Więc może dałbyś sobie już spokój. Nie szukamy zwady i nie chce cię zabijać...

— Ty! — warknął w odpowiedzi: — Ty mnie! Mnie grozisz?!

— Posłuchaj, Mitsuo — wtrącił Anioł: — Nie doceniasz jej, bo nie wiesz, z kim masz do czynienia. Ale powiadam ci, podnieś na nią choćby mały palec, a przysięgam, zgruchocę ci kości gołymi rękoma.

Mężczyzna zerknął spod byka na masywną, wysoką sylwetkę Yormūna, na jego potężną klatkę, muskularne ramiona i ręce pokryte węzowymi tatuażami. Wierzył jego słowom, nie wątpił w pogroźkę, nie miał zamiaru próbować go w boju, a już na pewno nie pilno mu było zakosztować jego groźnie wystającego zza jego pleców miecza. Opuścił maczetę, wsunął ją za pasek i podszedł do wijącego się na ziemi mężczyzny. Był półprzytomny. Upojony alkoholem i osłabiony utratą krwi, nie bardzo wiedział co się z nim dzieje. Mitsuo Koga oderwał kawałek tkaniny z jego koszuli i począł robić opatrunek, podczas gdy Anna zwolniona z walki, schowała w biegu miecz i rzuciła się prosto w ramiona Anioła.

— Yormūnie, co tu robisz?

— Długo cię nie było. Martwiłem się, dlatego wyszedłem ci na spotkanie — odpowiedział, przykląkł i objął ją mocniej.

— Martwiłeś się?

— Tak.

— Cudownie! Ale co teraz zrobimy, kiedy mój plan nie wypalił? Jak się stąd wydostaniemy?

— Pójdziemy do Bunkamury, jak planowaliśmy wcześniej. Była tam dawniej siedziba ruchu oporu. Może trafimy na jakiś ślad. Potrzebujemy przekaźnika satelitarnego. Gdyby udało nam się go...

— Pomogę wam.

Usłyszeli głos Mitsuo Koga.

— Pomogę wam się wydostać, ale w zamian zabierzecie mnie z sobą. Dość mam już tego pieprzonego miasta. Dłużej tego nie zniosę.

Anna puściła Yormūna. Anioł wyprostował swój wielki korpus, kiwnął ze zrozumieniem głową i odpowiedział:

— Zgoda. Umowa stoi.

— Opatrzę tylko tego tutaj... — Wskazał opartego o ścianę budynku towarzysza: — I zaprowadzę go do... — zawahał się: — takich tam... Pomogą mu wydobrzeć. Wróć za pół godziny. Nie zniknijcie tylko.

— Będziemy czekać — odpowiedziała Anna i jak wcześniej wepchnęła się w ramiona Anioła.

— Usiądźmy, Anno. Tam. W cieniu — zaproponował, a kiedy przytaknęła, weszli na podwórze ceglanego domu i usiedli na czymś, co przypominało ławkę, choć z całą pewnością nią nie było. Wyglądało na drewnopodobną konstrukcję jakiegoś mebla, która dawniej wyłożona była gąbką i obciągnięta tkaniną. Mieli z tego miejsca wyśmienity widok na drogę i Bunkamurę.

— Znów zabiłam... — powiedziała z pretensją do samej siebie.

— Nie miałaś wyboru.

— Zaatakowałam zbyt pochopnie. Mogłam pertraktować.

— Z nimi? — zdziwił się, wskazując dwa zakrwawione ciała leżące na środku ulicy.

— Wiem. Nie posłuchaliby mnie...

— Nie myśl o tym. Broniłaś się.

— Zabijamy się, Yormūnie... My ludzie... Bez końca się zbroimy i ćwiczymy w zabijaniu.

— To prawda.

— Zabijamy wszystko, co żyje. Nie mamy szacunku do życia. Jesteśmy tacy podli.

— Jesteście okrutni, bo stworzyliście System, który was zniewolił. Kierujecie się chciwością i żądzą posiadania. Czycie pieniądze ponad wszystko i dla nich jesteście gotowi mordować. Mordować siebie i wszystko, co stanie na waszej drodze do bogactwa, sławy, do sukcesu i władzy.

— Nie mamy żadnych oporów moralnych...

— Wasze wartości moralne to bzdety i abstrakcja. Jesteście hipokrytami. Twórzycie prawo i nie przestrzegacie go lub przystosowujecie je tak, żeby otworzyć sobie drogę do jeszcze większej władzy i korzyści materialnych.

— Czy zatem człowiek powinien w ogóle kierować się moralnością? Czy niemoralny człowiek może stworzyć moralne prawo?

— Nie może, Anno. Człowiek w rozkładzie wewnętrznym, uwarunkowany własnym umysłem, nie jest w stanie niczego pozytywnego stworzyć. Taki człowiek tworzy tylko nieład. Poza tym, kto zagwarantuje wam, że ustalone normy są rzeczywiście moralne? Kto będzie wzorcem dla tej moralności? Który człowiek? Jacy Ludzie? I dlaczego mielibyście im uwierzyć?

— Czytałam, że dawniej palono na stosie czarownice i było to moralnie usprawiedliwione, choć w późniejszych wiekach to potępiono.

— W czasie II Wojny Światowej naziści wysyłali kalekie i upośledzone dzieci do komór gazowych lub podawali im truciznę. Nie widzieli w tym nic złego. Taka była ich moralność. Prawo, które sami wymyślili na potrzeby zbrodniczego procederu, pozwalało im mordować miliony istnień ludzkich z czystym sumieniem.

— Legalne mordowanie.

— Tak, właśnie tak. Legalne mordowanie.

— Teraz też legalnie mordujemy.

— Robicie to od początku waszego istnienia. Tylko kiedyś byliście istotami prymitywnymi i można było wam to wybaczyć.

— Niektórzy uważają, że w zabijaniu istot nieświadomych samego siebie, nie ma nic złego.

— Co znaczy być nieświadomym samego siebie?

— Nie jest się świadomym, że się istnieje. Na przykład mówią, że płód ludzki w początkowej fazie rozwoju nie jest świadomy siebie samego.

— Na jakiej podstawie uważają, że zarodek nie ma świadomości, Anno? Dlatego tylko, że nie ma mózgu? To największa głupota, jaką słyszałem! Każda najmniejsza, pojedyncza komórka w organizmie żywym, ma własną, indywidualną świadomość, pamięć i rozum, których nie da się w żaden sposób zmierzyć. To nie jest tożsama świadomość ze świadomością ludzką. To przekracza intelektualnie człowieka i nie jest on w stanie objąć tego własnym, ograniczonym umysłem. Człowiek nie ma pojęcia o energetycznej budowie komórki i tego, jakie procesy w niej zachodzą i czemu one służą, a która to w połączeniu z innymi, współistniejącymi komórkami tworzy jedną wibrującą energię niskiej częstotliwości, przez co powstaje widzialny, materialny i żywy organizm.

— Wszystko jest energią.

— Tak. Wszystko jest energią. Wiedziano o tym bardzo dawno temu. Wszak wszystko zbudowane jest z atomów, które są w nieustannym ruchu. Jeśli ma się

świadomość istnienia tych cząsteczek inaczej patrzy się na życie, ale... Wracając do kwestii zabijania. Jaka jest różnica pomiędzy zabiciem istoty świadomej i przyjmijmy na chwilę – nieświadomej – choć takich organizmów wśród istot żywych nie ma. A więc na przykład: drzewa, zarodka, komara, psa czy człowieka.

— Nie ma żadnej. W każdym przypadku kończy się to śmiercią.

— Brawo, Anno! Śmierć to śmierć! Tak jak mord jest mordem. Trzeba to zapamiętać na całe życie i mówić o tym otwarcie. Nie tłumaczyć sobie tego. Nie wymyślać śmiesznych teorii. Życie nie jest teorią. Ono jest faktem, jest działaniem. Teorie ograniczone ludzką myślą są wytworem fantazji i nie mogą być brane za pewnik. Nie są zbudowane na prawdzie, tylko na domysłach i spekulacjach. Nie można ukrywać śmierci ani mordu za słowami. Więc teraz... jeśli zabiję ciężko chorego człowieka będącego w śpiące, żeby mu ulżyć...

— To jest to zbrodnia!

— Tak jest! To zbrodnia, nawet jeśli znajdę na to sto tysięcy różnych prawnych i moralnych wykrętów. Fakt pozostanie faktem. Popelnilem zbrodnię. Zabiłem człowieka. Nic mnie nie uwolni od tego czynu. Nic mnie nie tłumaczy. Odebrałem życie innej istocie niezależnie od tego, jakie miałem motywy swojego postępuku, co mną kierowało i czy zrobiłem to bez jej woli, czy za jej pozwoleniem. Zadałem jej śmierć i tyle. Nie ma tu miejsca na dodatkowe rozważania. Tłumaczenie się z tego jest ucieczką od odpowiedzialności. Jest fałszowaniem prawdy. Oszukiwaniem siebie. Próba oczyszczenia się przed światem z dokonanego morderstwa. Ale najbardziej zwodnicze słowa, najlogiczniejsze wyjaśnienia, najdokładniej opracowane teorie, są pustymi terminami i nie mają odniesienia do Prawdy. Prawda jest tylko jedna: Dokonałem zbrodni. Zabiłem drugiego człowieka. I kropka. Nie ma dobrej śmierci. Nie ma czegoś takiego jak humanitarne zabijanie. To sprzeczność, której nie zauważacie albo nie chcecie widzieć dla własnej wygody, żeby oszukać sumienie, aby was to nie gryzło i nie spędzało wam snu z powiek.

— Trzeba być tego świadomym.

— Dokładnie. Trzeba być świadomym i uczciwie się do tego przyznać. A teraz załóżmy, że jestem lekarzem i dokonuję aborcji to...

— Jesteś mordercą!

— Otóż to! Jestem zbrodniarzem. Zniszczyłem żywą istotę. Dokonałem okrutnej zbrodni wraz z kobietą, która poddała się aborcji. Ona również dokonała mordy, nawet jeśli nie zrobiła tego własnymi rękoma i uważa, że to jej ciało i może z nim robić, co jej się żywnie podoba. To prawda – może – ma wolną wolę. A jednak człowiek stający przed faktem musi wybierać pomiędzy byciem dobrą lub złą

istotą. Dobro wypływa z miłości, a nie społecznej moralności. Człowiek nią wypełniony nie musi wybierać, ponieważ miłość nie wybiera, ona wie, co jest dobre. Tam gdzie nie ma miłości, istnieje wybór pomiędzy jednym a drugim. Tam umysł wtrąca się i zastępując serce, kalkuluje i rozważa zaistniałą sytuację poprzez własne ograniczenia i uwarunkowania. Taki człowiek niczego mądrego nie wymyśli, bo umysł jest pamięcią, przeszłością, jest martwy i nie jest w stanie odkryć Prawdy, a więc tego, co nieznanne, niepojęte i niemierzalne. Zabijając życie, buntujecie się przeciwko temu życiu, dokonujecie gwałtu na przyrodzie i stajecie w opozycji do Prawa Natury. Miejcie tego świadomość, albowiem zrozumienie tego odsłoni wam nagą prawdę, pobudzi wrażliwość, będzie początkiem świadomego myślenia i pozytywnym impulsem do prawidłowego działania w przyszłości.

— A jeśli zabiłam pająka?

— Och! To dokonałaś zbrodni na istocie dużo mniejszej od siebie. Ważniejsze jest jednak pytanie: dlaczego to zrobiłaś? Jeśli broniłaś swojego życia i była to jedyna możliwość, aby się ocalić, to jesteś wytłumaczona, choć niczego to nie zmienia – zabiłaś żywe stworzenie, odebrałaś mu największe dobro, jakie posiadał – życie. Nie ma bowiem większego dobra nad życie! Masz jednak tego świadomość. Wiesz o tym. Nie okłamujesz się. Widzisz to dokładnie. Nazywasz to po imieniu i następnym razem będziesz ostrożniejsza. Nie dlatego, że tak trzeba i wyznajesz pseudomoralne wartości, ale dlatego, iż przez obserwację zrozumiałaś, dostąpiłaś ośnienia i czujesz otaczające cię zewsząd życie. To uczucie jest poza myślą, ono wypływa z serca, płynie z miłości, ono wypełnia każdą komórkę twego ciała. Ktoś, kto naprawdę kocha życie, a nie tylko tym się chwali – nie niszczy i nie zabija, to jest naturalne. Tylko istota niekochająca jest w stanie odebrać sobie i innym życie, bo jest wewnętrznie martwa i zgniła. To chodzące li tylko materialne ciało, skorupa składająca się z mięśni, nerwowych połączeń i reagująca na proste, niezłożone sygnały i instrukcje. To najzwyklejsze – zombie.

— A jeśli zrobiłam to dla przyjemności?

— To znaczy, że jest z tobą coś nie tak i nic, ale to nic nie usprawiedliwia twego czynu. Niestety, ludzi bezsensownie zabijających inne stworzenia jest bez liku, i to jest doprawdy smutne, bo świadczy o niskiej świadomości duchowej i braku wrażliwości tychże osób. Jako istoty wyższe, jeśli już chcecie, żeby za takich was uważano, świadome i podobno rozumne, powinniście bronić życia. Wziąć na siebie odpowiedzialność za całą Ziemię, za życie swoje i każdej istoty na tej planecie. Tymczasem jesteście tworem pasożytniczym. Eksplorujecie bez umiaru wszelkie zasoby naturalne Ziemi, pozostawiając za sobą śmierć i pożogę.

A wszystko dla krótkotrwałej przyjemności, pożądania, z chciwości i własnego widzimisię.

Uśmiechnęła się, powstała i rozprostowała nogi, poprawiła wymiętą minispódniczkę i podeszła do niego, pocałowała go soczyście w czoło, pogłaskała po policzku i powiedziała:

— Może pewnego dnia na Ziemię przybędzie obca cywilizacja, postanowi zniewolić ludzkość i przerobić nas na hamburgery. Wyłapią nas wtedy i zamkną na farmach śmierci, w których teraz mordujemy zwierzęta, i tam hodować nas będą niczym bydło. Czy taki scenariusz jest możliwy, Yormūnie?

— Wszystko się może zdarzyć, Anno. Wyrządzając zło, mordując się wzajemnie i inne organizmy żywe, wysyłacie w kosmos olbrzymie ilości negatywnie zainicjowanej energii. Przyciągacie zatem do siebie to, co sami dajecie. Prawa Natury nie pozostaną obojętne na wasze uczynki. Wcześniej czy później zmierzycie się z konsekwencjami waszych czynów. Co to będzie, tego nikt z nas nie wie. Być może ten proces już się rozpoczął, lecz nie jesteśmy tego świadomi.

— Yormūnie, ty wciąż nie cierpisz ludzi...

— Nie cierpię tego, czym są ludzie, Anno. Kocham istoty ludzkie jak każdy Anioł. Czyli istoty żywe, nieobciążone balastem przeszłości, bez ich systemu rozumowania i zaprogramowanych umysłów.

— A jednak to nie to samo.

Nie odpowiedział. Wstał. Słońce położyło żółtozłociste ręce na jego kruczoczarnych włosach, szare cienie podkreśliły mocniej rysy Anioła, a oczy zapłonęły na krótko czerwonymi ognikami. Było w tej jego postawie coś niepokojącego i urzekającego zarazem. Kamienny wyraz twarzy, masywna budowa nadniebiańskiego⁶ wojownika i anielski miecz zawieszony niestarannie na prawym ramieniu, zrobiły na Annie tak piorunujące wrażenie, że nieświadomie otworzyła usta ze zdumienia. Schwycił jej spojrzenie, mimowolnie się uśmiechnął i przemówił:

— Anno.

— Tak, Yormūnie?

— Zabijanie jest złem samym w sobie i jest oznaką prymitywizmu. Kto dał wam prawo do zabijania? Niczego nie stworzyliście sami. Nie stworzyliście tej planety i istot na niej zamieszkujących, a zachowujecie się jak bogowie. Podporządkowaliście sobie gwałtem Ziemię, lecz to nie znaczy, że wolno wam ją mordować. Musicie się w końcu opamiętać i zacząć kierować się miłością. Wtedy nie będziecie potrzebowali moralności, zakazów i nakazów, dogmatów i sztucznie stworzonego prawa. Nie będziecie zabijać siebie nawzajem i istot żywych, bo bę-

dziecie prawdziwie kochać życie. Dopóki tego nie zrozumiecie i nie zmienicie się wewnątrznie, będziecie dla mnie upośledzonym gatunkiem, w którego obronie nigdy nie stanę.

— Rozumiem, Yormūnie — rzekła, podchodząc do niego, objęła go i dopowiedziała: — Nie chcę, żebyś stawał w obronie ludzi. Nie zależy mi na tym. Chcę, abyś mnie bronił i kochał po wsze czasy. Tego pragnę, mój ty Wyklęty Aniele.

Ledwo zdążyła się uśmiechnąć, kiedy usłyszeli kroki, a zaraz potem ujrzeli przypominającego hienę mężczyznę z podążającym za jego plecami malcem.

— To Kenji⁷. Syn mojej młodszej siostry — przedstawił chłopaka Mitsuo Koga. — Może nam się przydać. Wejdzie tam, gdzie żadne z nas się nie zmieści...

— To zbyt niebezpieczne. Chłopak zostaje — zaprotestował Yormūn.

— Ale...

— Możesz z nim zostać, jeśli chcesz — wciąła się Anna: — Wybieraj.

— Niech to szlag! — ryknął Mitsuo Koga, ale nie zwrócili na niego uwagi. — Zrobiłem to tylko dla was! Słyszycie!

Nie odpowiedzieli. Ruszyli nieśpiesznym krokiem w stronę Bunkamury, zostawiając go z dzieckiem.

„Zrobiłem to tylko dla was!” — odbijało się echo od zniszczonych budynków, spłoszone czarne ptaki z masywnymi dziobami wzbily się nad ich głowy, drogę przebiegło wychudzone bure psisko, a w oddali, przy zawalonym gruzem wejściu do tokijskiego centrum kultury zamajaczył niewyraźnie zarys niedużej, uciekającej ukradkiem ludzkiej postaci.

Radomir Gelhor

Opole Lubelskie, 2017

- 1 Yormūn – Czytaj: Jormun.
- 2 Rękopis jest jeszcze w powijkach. Zawiera ogólny zarys i kilka większych fragmentów.
- 3 Shibuya *jp.* 渋谷区 (Shibuya-ku) – Czytaj: Sibuja. Dzielnica Tokio, o charakterze handlowym i rozrywkowym.
- 4 Bunkamura *jp.* 文化村 – Wielkie centrum kultury w tokijskiej dzielnicy Shibuya.
- 5 Wład Palownik – Wład III Palownik zwany też Drakulą. Gospodar wołoski w latach 1448, 1456-1462 oraz 1476 z dynastii Basarabów.
- 6 Nadniebiański *daw.* – Wyższy od niebian, przewyższający niebian.
- 7 Kenji – Japońskie imię. Czytaj: Kendzi